

# LUEGER W KOŁOMYI.

Opowieść wesółą, zaczerpniętą ze stosunków galicyjskich

przez

Grzegorza Smólskiego.

3 (Ciąg dalszy).

Przyciśniony wielką potrzebą, zagrożony katastrofą, udawał się do znajomych i przyjaciół politycznych o pomoc, lecz jedni mieli dobre chęci a próżną kieszeń, drudzy zaś przy pełnej kabzie tylko wymówki. Jedyną deską zbawienia pozostał hrabia, który jednak niedawno temu zapłacił jego weksel na kilkaset koron. Prowadząc agitację na rzecz hrabiego i znalazłszy się w złym położeniu z jego powodu, mógł śmiało udać się do niego o pomoc.

Gdy przybył do Oleksiniec państwo hrabiostwo, którzy mieli gości, siedzieli przy obiedzie. Musiał czekając przesiedzieć dobrą godzinę w przedpokoju. Następnie hrabia z zadowoleniem przyjął do wiadomości doniesienie, jakie mu przywiózł o uchwale komitetu centralnego, chociaż gniewało go, że żyda postawiono z nim „w jednej linii“, lecz gdy redaktor dotknął sprawy pieniężnej, hrabia zrobił kwaśną minę, mówiąc:

— Istny moloch te wybory. Dają i dają bez końca. Tak dalej iść nie może. A ile pan potrzebujesz?

— Najmniej 1200 koron.

— Ależ to straszna suma. Codzień po kilkaset koron — to nie idzie. Studnia wyczerpałaby się.

— Agitacja kosztuje. Bez pieniędzy nie się nie robi...

— A niech tę hołotę dyabli biorą!

— Głosy, druki, zgromadzenia, częstunki...

— Pal licho wszystko. Mam tego dosyć.

— Żydzi syją pieniądze na wszystkie strony.

— Muszę zauważyć wyraźnie, że z ostatniego artykułu pańskiego byłem bardzo niezadowolony...

— Przecież skutek był najlepszy...

— Tak... tak... lecz ja brzydzę się skrajnemi hasłami. Co za koncept ze sprowadzaniem Luegera do Kołomyi. Ja z demagogami nie chcę i nie mogę mieć nic wspólnego.

— Z Luegerem był tylko strzał na straszaka...

— Lecz zawsze rzecz taka rzuca pewien cień. Ja kandydatem antysemitycznym nie jestem i być nie chcę, a pan mnie ciągle kompromitujesz w tym kierunku. Zakazuję mu wszelkich skrajności. Ja muszę przecież mieć wzgląd na namiestnika, ministerium, dwór. Hrabia Młodzieński, to nie jakiś Kocobędzki, albo Łapczymucha, który może sobie pozwolić na wszystko.

— Agitacja musi posługiwać się gorętszymi hasłami, inaczej trudno wyborców...

— Ależ kochany Panie, ja mandatu poselskiego nie potrzebuję. Robię tylko ofiarę przyjmującego. Kosztów w Wiedniu dyetami poselskimi nie opłacam. Hołota powinna czuć się szczęśliwą, jeżeli który z nas poświęca się dla kraju i narodu, zostając posłem. Zamiast podziękować „sanki (: ) loci“ obrzuca człowieka jeszcze błotem.

Po małej przerwie zapytał hrabia:

— Ileż potrzeba koniecznie?

— Najmniej 1200 koron.

— To bająnskie sumy... o tem niema mowy.

Masz Pan 500 koron.

— Drukarnia niezapłacona.

— Gdzie rachunek?

— Nie wziąłem go jeszcze.

— Niech mi drukarz przysła... Wogóle wszystkie rachunki przysyłać wprost do Oleksiniec. Te 500 koron daję panu...

— Dziękuję najmocniej, lecz...

— Więcej nie dam ani szelaga. Pamiętaj pan, że nie wolno używać skrajnych hasel...

— Zastosuję się do rozkazu. lecz za nic nie ręczę.

— Jakto?

— Przegramy sprawę.

— Masz babo...

— Wyborcy żądają pieprznej strawy.

— To pieprz im pan, lecz w swoim imieniu, tak, żeby nie padał na mnie żaden cień. Po gazetach smarują dość głupstw różnych.

— Trzeba, by koniecznie odbyć zgromadzenie wyborcze. Żydzi nie chcą dać sali ratuszowej, można urządzić zgromadzenie w hotelu angielskim.

— To urządzić pan, lecz żeby nie kosztowało zbyt wiele.

— Ostateczny czas, żeby jaśnie wielmożny pan hrabia wygłosił mowę kandydacką.

— Ja miałbym stawać z mową przed pospólstwem! Co pan pleciesz?

— Jest koniecznością...

— Więc ułożę deklarację, którą pan odczytasz na zgromadzeniu. A teraz adieu panu, muszę spieszyć do gości.

Redaktor pozostał z pięcioma stokoronówkami. Skąd weźmie resztę, by zapłacić Jojne? Myśl o tem trapiła go jak zmora.

## III.

Kwartalnica nadzwyczaj uroczysta z powodu ważności chwili. Urządzono ją w barwnie przystrójonym ogrodzie, tak zwanej „letnicy“ korzenego sklepu Korpacza, łącząc przyjemne z pożytecznym. Postanowiono odbyć rodzaj zgromadzenia wyborczego, by kandydatom dać sposobność do popisu programowego. Zaproszono przed forum kwartalnicy wszystkich kandydatów, obecnych i nieobecnych. Chciano dać tym sposobem wyraz programowi prezesa br. Seydla, uznającego równouprawnienie wszystkich stronnictw. Miał to być wielki turniej zasad i przekonań.

Urządzeniem kwartalnicy zajmował się osobny komitet, na którego czele stał nieoceniony Jasio, który własnym kosztem przyozdobił suto ogród, postawił prócz dwudziestu szampanów, całe wiadro „erlauer“ i kapełę cygańską, mającą przeplatać mowy dźwięcznemi tonami.

Zgotował on kwartalnicy jeszcze jedną niespodziankę zapowiadając, że po mowach kandydackich przedstawi z swej strony nowego kandydata poselskiego. Korpacz i br. Seydel zlekli się początkowo trzynastki, lecz Jasio rozprószył ich obawy, podnosząc, że zaproszona dwunastka kandydatów nie stawi się w pełni.

Libacya zapowiadała się suto. Prócz „fundy“ Jasiowej, zawartość skarbondki wynosiła przeszło 110 koron, przyczem pokazało się, że mimo wszelkiej czujności skarbnika Korpacza, nieznani sprawcy oszukali skarb kwartalnicy w niemałej mierze, wrzucając do skarbondki miast koron, sporą liczbę blaszek tej samej wielkości.

Goście zaczynają się schodzić. Pierwszy przybywa pan aptekarz Szypułka z małżonką Maryą Kazimierą. Ma on jako najzawołany domorosły syn Apolina wygłosić prolog zagajający. Państwo aptekarzostwo — zajęli miejsce przy stole „cześnie“, przeznaczonym głównie dla kandydatów.

Prawie równocześnie weszli czterej kandydaci skrajni: Nadymalski, Krikalis, Korcowy i dr. Talkes ze swoimi najściślejszymi przyjaciółmi politycznymi, których razem było sześciu, tak, że na jednego przypadało po półtora prozelity. Kandydaci rzucali na siebie wilece spojżenia, jak gdyby chcieli pożyć się nawzajem.

Wciąż przybywali nowi goście. Dziewięciu kandydatów zajęło już miejsce. Trzej nieobecni, lecz mają swoich przedstawicieli na kwartalnicy. Abraham, Jojne i Icyk Grünblau, radni miejscy, reprezentują rabina z Stadlau, Simche Goldstackel, dr. Turteltauba, Stanisław Kiełbasowski, przemysłowiec naftowy hr. Młodzieńskiego. Br. Seydel stwierdza z dumą, że wszystkie stronnictwa znajdują się w obozie kwartalnicy.

Korpacz i dwóch sklepowych roznosi wódkę wstępną. Pogadanka przy dźwiękach poloneza. Stronnictwa szykują się do turnieju. Ksiądz dziekan Nowełyczko, paroch z Kociubinie, usiłuje przekonać notaryusza, że najlepszym posłem byłby Czernokus, gdyż jest „korennym Sławianem“. Jojne poważnie, jak patryarcha wielbi rabina Stadlau.

— Wielki człowiek, bardzo wielki — orzeka — takiego posła jeszcze nie było w Galicyi.

— Wierzę — odpowiada z uśmiechem szyderczym przemysłowiec naftowy z Słobody Rungurskiej, świetny zwolennik hrabiego. Galicya nigdy dotychczas nie wybierała cudzoziemca posłem.

— *Wie hajst czużydzemec* — odpiera z zaprzeczeniem bogacz żydowski. Dla nas *wun* nie *czużydzemec*. Przecie rabin. *Kołomeja* miasto żydowskie, poseł ztąd musi *bicz* żyd.

— Dr. Turteltaub także żyd — zauważył kontrolor pocztowy Waliczka.

— To paskudnyk, nie żyd — ofuknął się Jojne — *wun chodży po nemecku* — *wun ji penknulby!* — tref... Taki żyd, co swój religii nie trzyma, gorszy od ostatniego goja. *Wolim* pana Namentowskiego, choć antysemita.

— Panie Jojne, — odpowiada Namentowski, urzędnik kolejowy — za sumę miłości pańskiej nic sobie nie kupię. Wolałbym gdybyś pan pożyczł mi ze czterysta koron...

— Antysemitom nie pożyczam pieniędzy, chyba na hypotekę...

— Albo zapłacić przynajmniej wino.

— Jojne *stacz*, Bogu *dzięki*, na wino... *czemubim* nie miał zapłacić.

— Panie Korpacz, pan Jojne...

— Nu, ale nie *dżysz*, tylko jutro.

Adwokat dr. Zipfel rozmawia z Serwacym Ma-drochowiczem, redaktorem „Makolagwy Huculskiej“, który stanowczo oświadcza się za kandydaturą barona Seydla.

— Wszak pan — czyni uwagę dr. Zipfel — popiera w ostatnim numerze dr. Turteltauba.

— Tak, — odpowiada — lecz ja nie jestem skrepowany, jak inni, — przyczem rzuca znaczący wzrok na swego współzawodnika Niesamowitego, znajdującego się w bliskości — mogę popierać dziś tego, jutro innego. „Makolagwa“, jak baron stoi ponad stronnictwami.

— A ja państwu powiadam — rzecze inspektor drogowy — że najlepszym kandydatem byłby Jasio — luby i hojny człowiek.

Po wódeczce i przekasce zagaja baron Seydel zgromadzenie proponując na „cześnie“ przewodniczącego Abrahama Jojne, jako najstarszego wiekiem, dodając, że właściwe prezydium sam będzie prowadził. Oklaski towarzyszą jego słowom.

Redaktor Niesamowity zabiera głos.

— Protestuję — powiada — żeby prawie wyłącznie chrześcijańskiemu zgromadzeniu przewodniczył cześnie żyd.

Krikalis na to krzyczy: Bardzo *prosi* — bez różnicy wyznań!...

Niesamowity: Niepozwalam.

Rządca Szpikalski: Niema liberum veto! Do porządku!

Dr. Talkes: Ja protestuję najenergiczniej przeciwko protestowi pana Niesamowitego.

Nadymalski: Protestuję także... Nam trzeba zgody społecznej... lecz żydzi nie poczuwający się...

Powstaje taka wrzawa, że słów Nadymalskiego nie słychać. Gdy hałas przycichł nieco, woła Jojne gniewnie:

— Co ma ten *kszik* znaczyć?... kiedy *mogim handlowacz z chrzeszczyjane, pażyczacz im pieniądów*, to czemu nie mam im *przewodniczyć* jak pan baron tego żąda.

Zwracając się ku Niesamowitemu dodaje:

— Ja *wim*, to pan taki hałas robi...

— Precz z prywatą! — odpiera z oburzeniem Niesamowity. — Nie ścierpię tego!

Znowu wszczynają się zamieszanie, wśród którego Jasio z pucharem wina w rękę zabiera głos. Żywe oklaski witają go. Mówi wianą mową:

Hej druhowie, co się dzieje!

Wiatr niezgody tutaj wieje;

Zaprzestańmy toczyć wojnę

Ja wam mówię: dobry Jojne —

Jeszcze lepsza kiesa jego

Piję zdrowie reb Jojnego!

Niech nam stary przewodniczy.

Redaktor zaś niech nie krzyczy.

— Głośne wyrazy zadowolenia, burza oklasków przygłuszają wszelkie sprzeciwy. Korpacz stawia ogromny dzwonek przed Jojne, przy którym siedzi baron Seydel, właściwy kierownik obrad.

— Ależ Kajciu — mówi baron Seydel do Korpacza — cóż to za dzwonek.

— Nie było innego pod ręką — odpowiada — wziąłem od sanek. Dobry, bo bardzo głośny.

Podnosi się biblijna postać Jojny, oznajmiając, że pan aptekarz ma głos. Uroczysta cisza, wielkie napięcie.

Aptekarz Szypułka, kragły jak beczka, z łysiną, jak księżyc w pełni na głowie, wysuwa się na środek promieniający natchnieniem. Chrzaka trzykrotnie, wysuwa nogę prawą naprzód, a rękę prawą wsuwa w zanadze i rozpoczyna uroczystym drżącym głosem:

Trzebaby Cerwanta, Szekspira, Szilera,

By opisać zdołał, co się u nas dzieje,

Walka bratobójcza w oczy nam zaziera,

Niebo się pioruni, huragan szaleje.

O mandat poselski wrą boje zażarte,

Namiętność wre, strzela... pif, paf nie na żarty —

Lecz my, o druhowie, mimo wojny wszelkiej

Zbratani siedzimy w półcieniu butelki...

Burza oklasków przygłusza dalsze słowa natchnione. Poeta rozpromieniony wielkiem uznaniem dziękuje czołobitnie skinieniem głowy, a następnie od ust złotych szle całusy obydwoma rękami na wsze strony.

Pani Marya Kazimiera, zauważywszy, iż małżonek jej ciska najwięcej całusów w stronę stołu, przy którym siedziały panny Dusimiechówny, widzi się zniewoloną apostrofować go słowy:

— Wstydz się lubieżniku!... co ciebie obchodzi stół paniński.

— Urojenie duszko — tłumaczy się poeta.

— Nie przerywać! — woła ktoś głośno z towarzystwa.

C. d. n.